



Mariola Bugajna

**ŻYĆ
INACZEJ**

Życ inaczej to intrygująca powieść sensacyjno-obyczajowa, a jednocześnie rozwojowa, ukazująca drogę życiową – od trudnego dzieciństwa w patologicznej rodzinie po pełen męskich przygód i niebezpiecznych zawirowań wiek dojrzały. Furtkę ku wielkiej przygodzie uchyla głównemu bohaterowi Trener. Dzięki niemu wstępuje on w szeregi sił specjalnych. Tam odnajduje prawdziwych braci i kompanów, agentów jak on sam, którzy też mają niezwykle życiorysy. Wspólny udział w tajnych akcjach, ciężka służba i zawirowania w życiu prywatnym są motorem intrygujących wydarzeń.

Powieść, okraszona mocnym i dosadnym językiem, nie pozbawiona jest także wątku romansowego. Współczesne realia, obyczajowy konkret i równie brutalne, co dowcipne dialogi, a także niebanalny sposób narracji – to dodatkowe atuty tej książki.

PRZEJDŹ

do księgarń online:

www.sorus.pl



Sorus

Mariola Bugajna

**ŻYĆ
INACZEJ**

Redaktorka prowadząca
Michalina Wesołowska

Redakcja
Błażej Kuztelski

Projekt okładki
Katarzyna Mróz-Jaskuła

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Mariola Bugajna 2022
Copyright © by Sorus 2022

Wydanie I

ISBN 978-83-67139-07-6 e-book

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja DM

Sorus sp. z o.o.

ul. Bóźnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

Rozdział I

To nie Kabul

Poniedziałek

Podjechaliśmy pod ambasadę Polski w Hadze. Duży, stary, biały odrestaurowany budynek, a przed nim maszt z dumnie powiewającą polską flagą. Spojrzałem na kumpla obok. Uśmiechnęliśmy się tylko do siebie. Otworzyła się wielka, mosiężna brama. Ambasada była usytuowana przy dość spokojnej ulicy, gdzie nie ma zbyt dużego ruchu. Najpierw kontrola naszych dokumentów, przepustek i samochodu. Następnie podniesiono szlabany i wjechaliśmy na teren należący do Polski. Ochroniarz kazał nam otworzyć busa i spojrzał na nasz ładunek.

– Panowie od serwerowni? – zapytał.

– Tak, wymiana serwerów – potwierdziliśmy.

Wskazał nam miejsce, gdzie powinniśmy zaparkować, aby mieć jak najbliżej do serwerowni. Po zaparkowaniu przeszliśmy do wejścia głównego. Tam jeszcze raz czekała nas kontrola. Była dokładnie 10.00. Poniedziałek, 21 września 2020 roku. Panowie ochroniarze wydawali nam polecenia stanowczym głosem.

– Proszę zostawić odzież wierzchnią, torby i wszystkie metalowe elementy w pojemniku – powiedział jeden.

Drugi odebrał od nas pojemnik i przepuścił przez skaner. Następnie kazali nam przejść przez bramki do wykrywania metalu i ściągnąć maski. Po drugiej stronie, w dość sporym holu,

czekał na nas już informatyk w maseczce, dlatego ponownie je założyliśmy.

– Panowie z IBM. Witam, Andrzej Krępy. Tędy proszę.

– Witam, Krzysztof Olendrowski – odparłem. – A to mój kolega, Piotr Paździeń.

– Serwerownia jest za kantiną – kontynuował informatyk. – Nie wiem, co się stało. Jeszcze dwa dni temu wszystko grało, a tu takie spięcie i wszystko szlag trafił. Dobrze, że udało się wam tak szybko zorganizować dostawę. Na tych zastępczych za długo byśmy nie pociągnęli. Teraz wszystko jest online, już mieliśmy chyba ze czterdzieści telefonów, że formularze na stronie ładują się godzinę. – Gadał tak niby do nas, niby do siebie. – Normalnie powinno się tutaj roić od ludzi z jakimiś sprawami do załatwienia, ale koronawirus przyspieszył rewolucję cyfrową o jakąś dekadę i teraz wszystko odbywa się online. Ludzi przyjmuje się już tylko w nagłych przypadkach.

Informatyk otworzył drzwi serwerowni.

– Aha, panowie... – zwrócił się do nas. – Wiem, że to zajmie jakiś czas, dlatego na dwunastą zamówiliśmy dla panów mały poczęstunek, coś na zimno niestety. Chociaż tyle, bo normalnie z kantyny nie można korzystać, wiecie covid – mówił dalej.

– Okej, dzięki – potwierdziliśmy zgodnie.

– To ja zacznę rozłączać sprzęt – oświadczył.

Skinęliśmy głową. Dał nam tymczasowe karty, żebyśmy podczas rozładunku mieli dostęp do wejścia służbowego od strony kantyny. Rozładunek trwał jakieś pół godziny. Następnie zaczęliśmy podłączać sprzęt. Robotą przebiegała zgodnie z planem. Około godziny 11.20 wszystko było gotowe i zaczęliśmy odpalać system. Spojrzałem na mojego kumpla.

– Siedzi – stwierdził.

Informatyk był zadowolony, że wszystko ruszyło. Ciągłe coś głądził. A to, że dzisiaj jego dziewczyna ma urodziny i zależy mu, aby wyjść na czas, a to, że wszystko tak sprawnie idzie i takie tam... Bła, bła, bła.

Wysłałem SMS-a „Siedzi”. Dostałem odpowiedź: „Siedzi, gra i buczy”. Była już prawie 12.00. Zaraz miał być ten poczęstunek. Należało tylko oczekiwać, aż wszystko się do końca załaduje, i sprawdzić, czy cały system działa prawidłowo. Informatyk zakomunikował:

– Panowie, dwunasta. Czas na poczęstunek.

Najwyraźniej na to czekał, bo widać było, że lubi jeść. Był grubą kluchą, a jego brzuch wylewał się ze spodni. Mężczyzna trochę łyślał i miał czarną brodę. Ewidentnie się zmęczył, bo na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Dobra, muszę jeszcze tylko zaliczyć kibel – powiedziałem do mojego kumpla.

Udałem się do toalety. Pamiętałem, że przy wejściu głównym znajdowała się ubikacja – była zupełnie po drugiej stronie budynku. Minąłem kantynę. Przeszedłem przez hol i wszedłem do kibla. Czysto, białoszaro, sterylnie, że z podłogi można by jeść. Podszedłem do pisuaru, wylałem się. Zapiąłem rozporek i udałem się w stronę umywalki. Oparłem się o nią dwoma rękoma i spojrzałem w lustro. Gdy właśnie miałem odkręcić wodę, usłyszałem ogromny huk. Głowa odskoczyła mi bezwładnie i walnęła czołem w lustro. Nie upadłem na podłogę, ale wszystko zadrżało i musiało wywalić wszędzie okna, bo dźwięk tłuczonego szkła mieszał się z dźwiękami dobiegającymi z ulicy. Poczulem krew na policzkach i nagle wszystko zrobiło się siwe od pyłu, który unosił się wszędzie w powietrzu. Włączyły się czujki z wodą i spowodowały, że ten pył zaczął zamieniać się w błoto. Czulem je wszędzie – w nosie, w ustach. Koszula powoli traciła swój niebieski kolor i teraz wszystko było koloru błota. Krew zaczęła mi spływać jeszcze bardziej po policzku. Usłyszałem wycie syren. To wszystko trwało ułamki sekund, ale dla mnie jakby czas stanął w miejscu. Ludzie krzyczeli z podwórka. Ktoś zza okna darł się:

– To wybuch, to wybuch! Uciekajcie! Zaraz się wszystko zawali! To wybuch!!!

Ocknąłem się na dobre. Wybiegłem z kibla, rozejrzałem się wokół. Serwerownia i kantyna praktycznie przestały istnieć. Na moich

oczach runęła cała zewnętrzna ściana budynku od strony serwerowni. Odskokczyłem. Gdy kurz opadł, rzuciłem się na ten gruz, aby odnaleźć mojego kumpla i informatyka. Wszędzie leżały kamienie, szkło, futryny okien, które były cholernie ciężkie.

– Pierdolone holenderskie okna, kurwa, większych nie było! – wydarłem się.

Byłem jak w szale. Przerzucałem ten gruz, aż w końcu strażacy zaczęli mnie odciągać. Nie chciałem odpuścić. Darłem się do nich po angielsku:

– Tam jest mój kumpel, trzeba go wyciągnąć!

Powiedzieli, że zabezpieczają teren i muszę się odsunąć. Twarz miałem zakrwawioną, byłem cały okurzony, więc zawołali jakąś pielęgniarkę, aby mnie opatrzyła. Musiałem odejść. Strażacy taśmą otoczyli teren i próbowali jakoś ogarnąć ten chaos. Po jakichś pięciu minutach zaroilo się od policji. Wszystko wyglądało jak z jakiegoś pieprzonego kina akcji. Za taśmą gromadziły się auta reporterskie, a dziennikarze zaczęli nadawać na żywo. Szum, rozgardiasz i kurz – tylko tak można to było podsumować. Pięknie odrestaurowana kamienica teraz wyglądała jak czarne pobojuwisko, kompletnie osmolone i powoli wałące się pod własnym ciężarem. Nie mogłem w to uwierzyć. „Przecież to nie jest jakiś, kurwa, Bagdad czy Kabul, tylko Haga. Jak to jest możliwe? Kurwa, to nie ma sensu...” – myślałem.

Pielęgniarka nakleiła mi plaster i stwierdziła, że z urazem głowy powinienem udać się do szpitala. Powiedziałem jej, że nic mi nie jest. Czekałem, aż zaczną odgruzowywać. Być może mój kumpel jeszcze żył...

Po jakimś czasie pojawił się ambasador Polski w Hadze – Tomasz Dudalski. Starszy gościu, koło pięćdziesiątki, zaczesany do tyłu i ewidentnie farbujący włosy, chociaż na czubku głowy widniały przerzedzenia. W jego twarzy było coś sztucznego, a jego uśmiech wydawał się sprawiać mu ból. To pewnie przez botoks. Nigdy nie zrozumieć, po co ci ludzie pchają sobie to gówno do twarzy. Na środku podbródka miał takie małe wgłębienie i jego broda

przypominała trochę odbył, tak że pasowało by do niego nazwisko Dupalski. Porozmawiał z jakimś dowodzącym akcją strażakiem, przeczesał swoje włosy ręką i podszedł do mnie.

– Witam, pan był z tej wymiany serwerów dzisiaj? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem.

– Jak się pan nazywa?

– Krzysztof Olendrowski.

– Panie Krzysztofie, jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało. Wiem, że był pan z kolegą i moim informatykiem w chwili wybuchu. To jakiś koszmar. Brak mi słów – mówił. Po czym ciągnął dalej: – To pewnie wybuch gazu, bo cóż by innego, nie mogę sobie wyobrazić nic innego.

– Chyba trochę za wcześnie, aby podawać przyczyny – odparłem, nawet nie spoglądając na niego. Ciągle gapilem się na ekipę zajęłą odgruzowywaniem. Czekałem, aż go znajdą.

– Zostawię pana na razie, muszę porozmawiać jeszcze z innymi – odpowiedział ambasador i udał się w stronę grupki ochroniarzy, która też była opatrywana przez służby medyczne.

Patrzyłem z niedowierzaniem. „Ja pierdołę, to się nie może dziać naprawdę” – chodziło mi wciąż po głowie. Poczulem wibracje telefonu. Odczytałem wiadomość. Były to tylko znaki zapytania: „????????”. Odpisałem: „Standby!!!!!!”. I nadal wpatrywałem się w zmagania holenderskich służb. Policja otoczyła cały budynek barierkami, a za nimi stali reporterzy i dziennikarze. To była dla nich niezła pożywka.

Od wybuchu minęła jakaś godzina, za wcześnie na oficjalne oświadczenia. Za to spekulacji było mnóstwo. Wokół słyszałem jak mówiono, że może to zamach terrorystyczny, ale jakoś nie chciałem w to uwierzyć. Wiadomo było, że niektóre kraje Europy zostały dotknięte falą zamachów, jednak Polska nigdy nie stawała się celem terrorystycznym. Była za mało znaczącym państwem na arenie politycznej, aby jakaś grupa terrorystyczna faktycznie poświęciła swój czas na przygotowanie takiego ataku. Sam nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Ciągle gapilem się w te gruzy

i wyczekiwałem. Po jakichś dwóch godzinach na miejscu byli już premier i prezydent Polski oraz premier Holandii. Widać było, że panowie po ludzku są poruszeni tą tragedią. W wyniku wybuchu uznano cztery osoby za zaginione. Byli to mój kumpel, jedna osoba z działu paszportowego, informatyk i kelnerka, która w kantine miała obsługiwać nas podczas lunchu. Na terenie ambasady zebrało się już chyba z sześćdziesiąt osób: policjanci i ludzie zbierający dowody ubrani w kaftany bezpieczeństwa, ochroniarze rządu, strażnicy, oficjele, służby medyczne. Wszyscy mieli maski na twarzach, więc ciężko było rozpoznać, kto jest kim. To wszystko wydawało się odrealnione. Ciągle czekałem. Ta bezsilność wkurwiała mnie, ale nie mogłem nic zrobić. Musiałem czekać.

Nagle podeszła do mnie jakaś kobieta w maseczce.

– Nikki Koejermans, Interpol. – Energicznie wyciągnęła rękę w rękawiczce.

Spojrzałem na jej rękę i podałem swoją. A później spojrzałem na jej zamaskowaną twarz. Widać było, że się ciepło uśmiechnęła, bo zaświeciły jej się oczy, duże, zielone, z długimi, kręconymi rzęsami. Przez sekundę zawiesiłem swój wzrok na nich.

– Krzysztof Olendrowski – odparłem.

Nikki kontynuowała po angielsku:

– Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co pana spotkało. Na razie za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski – mówiła spokojnym głosem. – Pan był w środku w chwili wybuchu, prawda?

– Tak, byłem.

– Czy mogę zadać panu kilka pytań? – zapytała.

– Jasne – westchnąłem zrezygnowanym głosem. Ciągle nikt jeszcze nie znaleźli, a ja jakoś nie potrafiłem za bardzo zebrać myśli.

– Pan ambasador mówił, że był pan jedną z osób, która dzisiaj miała wymieniać serwery w ambasadzie. Czy to prawda?

– Tak – odpowiedziałem.

– Gdzie pan był w chwili wybuchu? – ciągnęła dalej.

– W toalecie na końcu holu – odpowiedziałem.

Zauważyła, że jestem jakiś rozkojarzony i ciągle patrzę na te gruzy.

– Pana kolega jest pod nimi? – zapytała, chociaż знаła odpowiedź.

Kiwnąłem tylko głową.

– Wie pan co, może lepiej spotkamy się jutro u mnie w biurze. Proszę, to moja wizytówka, tam dokończymy rozmowę. To tylko formalność. Naprawdę mi przykro. O dziewiątej będzie okej? – Spojrzała na mnie ze smutkiem.

Obydwoje wiedzieliśmy, że szanse na przeżycie kogokolwiek są właściwie zerowe.

– Okej – odparłem i nagle usłyszałem, że znaleźli kogoś. To był informatyk. Już nie żył. Usiadłem z powrotem na barierce obok karetki. I nadal gapilem się w te zgliszcza.

Pani inspektor odeszła, choć jeszcze się odwróciła w moją stronę, gdy odchodziła. Też rzuciłem spojrzenie w jej kierunku. Znowu usłyszałem poruszenie. Znaleźli kogoś. To był on, mój kumpel. Podbiegłem. Widziałem jego całą zakrwawioną twarz, miał wbity pręt w klatkę. Nawet nie podjęto reanimacji. Nie było sensu. Nogi się pode mną ugięły. Wiedziałem, że nie żyje, ale nie mogłem w to uwierzyć. To przecież nie ma sensu. Wszystko, kurwa, nie ma sensu... Przykucnąłem. Emocje buzowały we mnie i miałem ochotę coś rozjechać, ale nie mogłem robić scen. Nie było wiadomo, o co tu chodzi, więc zdusiłem to wszystko w sobie. Wziąłem kilka oddechów. Znowu obok mnie pojawił się ambasador z tą sztuczną gębą. Jeszcze raz pieprzył coś, że mu przykro. Zaproponował, że jego kierowca odwiezie mnie pod wskazany adres. Podziękowałem i powiedziałem, że sobie poradzę.

Ambasador stał jeszcze chwilę. Patrzył na mnie, po czym odwrócił się i podążył w stronę premiera Polski. Nie miałem ochoty na żadne gadki z nikim. Powoli wycofałem się i nadal z daleka przyglądałem się, co się dzieje. Zwłoki mojego partnera zabrała karetka. Patrzyłem na tę ruinę i ludzi, którzy ganiali wokół, próbując ustalić, co się dzieje. Myślałem o tym wybuchu gazu. To jakiś

pieprzony absurd. Znowu na horyzoncie przez chwilę pojawiła się ta kobieta. Nikki gadała teraz z jakimś roslym, czarnoskórym facetem. Podnosiła coś z ziemi, wskazywała na coś. Tamten kiwał głową i robił zdjęcia. Ambasador stał przy wierchuszce. Pokazywał miejsce, gdzie wcześniej stałem.

„Czego, kurwa, nie dopatrzyliśmy?” – zadawałem sobie ciągle pytanie. Znowu zawibrował telefon i znowu pojawiły się tylko znaki zapytania. Odpisałem: „Standby, Eniak wypadł z gry!!!!”. Nie było odpowiedzi, ale mogłem sobie tylko wyobrazić, co się działo po drugiej stronie. Dla nich Eniak był jak ojciec. To był jego projekt, a ta akcja miała być rutynowym działaniem, praktycznie bez żadnego ryzyka. Zrobiło się późno. Nie wiem, była może 22.00. Straż i policja powoli zaczęły się zbierać. Została tylko garstka osób, która zabezpieczała teren.

Ruszyłem w stronę naszej kryjówki. To był nieduży, parterowy domek bungalow, jakich pełno w Holandii. Mała kuchnia otwarta na mikrosalon i dwie sypialnie. Jedna mojego kumpla i jedna moja. Wziąłem z lodówki wodę, usiadłem na kanapie w salonie. Ostatkiem sił wstałem i poszedłem do swojej sypialni. Niewielkie pomieszczenie z łóżkiem na środku. Wszedłem do łazienki. Wziąłem prysznic, zmyłem z siebie ten cały pył. Wytarłem się ręcznikiem i włożyłem bokserki, po czym położyłem się na łóżku. Powoli adrenalina zaczęła ze mnie schodzić. Teraz dopiero poczułem, jak napierdala mnie łeb. Przez chwilę patrzyłem w sufit, próbując ogarnąć, co się właśnie wydarzyło, ale nie potrafiłem. Straciłem dzisiaj najbliższego mi człowieka, on był dla mnie jak brat. Niedowierzanie zaczęło powoli przeradzać się w frustrację. Zamknąłem oczy...

Rozdział II

Zielone liście

I nagle znalazłem się w moim małym pokoju w Dąbrowie Górniczej. Pomarańczowe ściany z nierówno nałożonym zielonym wałkiem z listkami – hit komunistycznego wystroju. Przypominały lzy, bo ojciec odwrotnie przyłożył ten wałek i nie chciało mu się poprawiać. Zresztą wszystko robił po pijaku i byle jak. Wtedy każdy facet pił i bił. „Taki los”, mówiono. U mnie w domu było tak samo jak u Wojtka, bo tak miał naprawdę na imię Eniak. Od kiedy pamiętam, ojciec wracał nachlany, a matka zawsze już od drzwi witała go słowami:

– Ty chuju pierdolony, alkoholiku jebany, znowu się nachlałeś! Łazisz jak prostytutka po osiedlu i szukasz okazji!

Ojciec na to odpowiadał:

– Bo z taką kurwą w domu to nikt by nie wytrzymał. Ruchasz się po tych biurach z kim popadnie, ty dziwko jebana! Odpierdol się ode mnie, idź do swoich fagasów, jak ci źle!

Ilość przekleństw, jakie wypowiadali w ciągu jednego wieczoru, przytłoczyłaby nawet największego degenerata. Miałem może pięć, może sześć lat, ale doskonale zdawałem sobie sprawę, że to bardzo złe słowa. Czasami ojciec, aby zagłuszyć matkę, puszczał muzykę na cały regulator z takiego małego magnetofonu Majka. Jego ulubionym zespołem był Boney M. Nieważne, która była godzina. Zawsze wtedy mnie wołał i pokazywał, jak należy tańczyć, chociaż sam nie miał za grosz poczucia rytmu. Stawał na środku

pokoju między wersalką a ławą, odginał się do tyłu, rozkładał ręce szeroko, zamykał oczy i lekko się kołysząc, głądził coś na wzór słów piosenki. Tkwił w tej pozie czasami nawet dwadzieścia minut. Później nagle jakby się budził i mówił do mnie:

– No dalej, synu! Tańcz, skacz!

I wtedy przez te parę chwil mogłem wszystko: skakać po wersalce, śpiewać i się śmiać. Matka dalej wykrzykiwała swoją litanie przekleństw i próbowała przekrzywić radio. Gdy jej się to udawało, ojciec często rzucał się do niej z łapami, aby się w końcu zamknęła. Mnie raczej rzadko bił po pijaku. Szczerze powiedziawszy, nawet wołałem, jak przychodził taki zalany w trupa, bo przynajmniej grała muzyka albo szybko zasypiał. Okrutny był dopiero po trzeźwemu. Moja matka w trzeźwego ojca patrzyła jak w obrazek. Ona była bardzo wredną, surową i okropną kobietą. Nie była ani ładna, ani za mądra. Zawsze miała brzydkie, nieulożone, siwiejące włosy, najczęściej pokręcone po trwałej ondulacji, i bardzo źle się ubierała. Nosila takie szerokie spodnie, które zawsze podkreślały jej gruby tyłek, albo czarne getry i rozciągnięty, biały sweter. Wyglądała staro i zawsze śmierdziała papierosami. Wypalała chyba ze dwie paczki dziennie. Dla odmiany nigdy nie piła, nie tańczyła, nie śpiewała i ogólnie rzadko się uśmiechała. Do mnie zwracała się najczęściej: „Ty pierdolony gówniarzu” i szkoliła mnie jak psa. Już jako małe dziecko musiałem sprzątać swój pokój i lepiej, żeby nie znalazła żadnego paprocha na ziemi albo krzywo ułożonej książki lub zabawki w szafce. Potrafiła wszystko wywalić na podłogę i trzeba było sprzątać od nowa. Jako mały chłopiec zawsze się jej bałem. Była jak żmija, która zawsze pluła w moją stronę jadem.

– Nic nie umiesz zrobić dobrze, ty gówniarzu pierdolony! – powtarzała. – Ale ja cię nauczę porządku.

„Tylko tłuc i słuchać czy oddycha” – to było jej ulubione powiedzenie. I wtedy już było wiadomo, że wyciągnie pasa i będzie mnie lała. Jak miałem pięć czy sześć lat, to faktycznie bolało, więc próbując uniknąć batów, zacząłem zwracać uwagę na najmniejsze szczegóły, aby nie mogła się do niczego przyczepić. Jednak trzeźwy

ojciec to była wyższa szkoła jazdy. On po trzeźwemu stawał się po prostu nie do zniesienia. Zawsze wkurwiony. Wchodził do domu, ściągał buty i szedł do łazienki się oplukać. Gdy wychodził z niej, obiad musiał już stać na ławie przed telewizorem. Nigdy nie siadał ze mną i matką do stołu. Zawsze darł się do mnie, że mam włączyć telewizor. Wtedy nie było jeszcze pilotów i nieważne, czy byłem zajęty nauką, jedzeniem lub czymkolwiek innym, musiałem przełączać mu kanały. W końcu przecież jaśnie pan był zmęczony po pracy. Fakt, praca górnika to nie jest lekka robota, ale mój ojciec każdy swój absurdalny rozkaz tłumaczył swoją ciężką harówką. Tak więc ganiałem jak pies do telewizora i przełączałem z kanału pierwszego na drugi i odwrotnie. Na moje szczęście w czasach komuny były tylko dwa kanały. Zupa zawsze musiała stać na rogu stołu i łyżka być w niej. Drugie danie dostawał od razu z zupą i lepiej, żeby nie wystygło. Gdy matka przez pomyłkę położyła łyżkę obok, od razu zrzuciła ją z ławy i wydierał się, że w tym domu to nikt nawet zupy nie umie podać. Potem zaczynała się litania do zimnego żarcia, że czemu już wystygło, co z niej za kucharka, a ona je podgrzewała i posłusznie stawiała jeszcze raz na tym samym miejscu. Aha, talerz po zupie musiał być zabrany od razu, gdy zjadł, bo inaczej łądował na podłodze. Kiedy w końcu rytuał jedzenia się kończył, zaczynał się cyrk z garami. Na początku gary zmywała matka. Ale jak miałem sześć czy siedem lat i byłem wystarczająco wysoki, aby sięgnąć kranu, musiałem zacząć zmywać gary. Na początku mówiła, że każdy po sobie, ale to się tylko tak nazywało. Musiałem zmywać po nich i do tego jeszcze układać gary na suszarce zgodnie z ich widzimisię. Często ojciec stawał nade mną i mówił:

– Zobacz, kurwa, jak stawiasz ten kubek, zaraz spadnie. Wiesz, ile takie rzeczy, kurwa, kosztują? – Następnie zwracał się do mojej matki, a jego żony: – A ty, kurwa, jak tego bachora szkolisz, wszystko zaraz porozbija. Stań i patrz, co on tutaj odpierdala!

Wtedy matka podchodziła do mnie z pyskiem:

– No patrz, kurwa, co robisz! Nic nie umiesz, ty gówniarzu pierdolony, tylko tłuc i słuchać czy oddycha.

A to był miód na uszy dla mojego ojca. Brał wtedy swój skórzany pas i wydzierał mi w tyłek kilka razy. Następnie przypierał się, że jego kasety krzywo stoją, klasery ze znaczkami ktoś ruszał albo albumy ze zdjęciami odłożył na złe miejsce. Zawsze znalazł sobie jakiś powód, aby przyczepić się do mnie albo do matki. Matka oczywiście wołała, aby trzeźwy ojciec dręczył mnie niż ją, więc wtórowała mu i zawsze obierała jego stronę. Według niej musiałem słuchać ojca, bo jest zmęczony po pracy. No to uczyłem się na pamięć, co gdzie stoi, jak było odłożone i którego dnia. Bo niestety ojciec nigdy nie pamiętał, gdy po pijaku przedstawiał sam swoje rzeczy i odkładał, gdzie popadnie. Ogólnie lista zakazów w moim domu była długa, a ojciec po trzeźwemu do niej tylko dokładał.

Nie mogłem oglądać telewizora po godzinie 19.30. Zawsze kazali mi iść do swojego pokoju, zaraz po wieczorynce, nawet gdy miałem jedenaście lat. Nie mogłem zapraszać kolegów do domu, bo będą szperać po kątach, więc poza Wojtkiem nie miałem za wielu kolegów. Zresztą kto by chciał spotkać żmiję na swojej drodze. Nie mogłem się bawić w pokoju dziennym z aneksem kuchennym, który był jednocześnie sypialnią starych, bo oni musieli mieć święty spokój. Groziło to zabraniami zabawek, których i tak nie miałem za wiele. W czasach komuny niczego nie było w sklepach. I nawet gdy można było coś kupić, to zabawki dla mnie stanowiły ostatnią potrzebę rodziny. Jedyne, jakie miałem, to przeważnie prezenty od jednej albo drugiej babci. W swoim pokoju nie mogłem się bawić ani śmiać za głośno. Gdy raz udawałem karetkę pogotowienia – i jak to dziecko wydawałem głośne dźwięki – ojciec wparował do mojego pokoju i sprzął mnie, bo podobno zagłuszałem telewizor. Nie wolno mi było wziąć nic z lodówki albo ze stołu do jedzenia bez pytania. Za to groziły klapsy laczkiem. Nie wolno było kupować mi ciuchów, dopóki nie wyrosłem z tych, które miałem.

– Szkoda pieniędzy na tego jebanego dzieciara, niech chodzi w tym, co ma, aż się nie zedrze. Niech się uczy życia. Jak byłem młody, to nic nie miałem – mawiał ojciec.

Matka od czasu do czasu kupowała mi jakieś buty albo spodnie, ale nigdy nie mogłem pochwalić się nimi przed ojcem i musiałem je nosić tak, aby nie zorientował się, że są nowe. Nie mogłem mieć złych ocen, żebym nie przynosił wstydu rodzicom. Nie mogłem przeklinać, chociaż oni klęli non stop. Nie mogłem też płakać. Miałem chyba sześć lat i wyróżnałem się na rowerze. Rower był cały pokiereszowany, a ja zdarłem sobie właściwie cały przód: brzuch, łokcie, ręce, kolana, nawet dłonie. Rozpłakałem się i z takim płaczem wszedłem do domu. Już od progu przywitał mnie jak zwykle miły komentarz matki:

– Jak ty jeździsz, gówniarzu pierdolony! Zdarłeś całą koszulkę. Pokaż! Jezu! Cała w dziurach. Przestań tak wyć!

Pech chciał, że ojciec też był w domu. Nie to, że trzeźwy, ale ja to nazywałem niedopity, czyli wypity, ale nie zalany. Podszedł do mnie i powiedział:

– A co ty, kurwa, jakaś pizda jesteś, żeby tak płakać? Co, kurwa, na rowerze nie umiesz jeździć, przecież cię uczyłem, a teraz będziesz tu wyć! Masz być twardy, nie miękki. Twardy, kurwa, płacz jest dobry dla bab! Ja z ciebie zrobię mężczyznę! – darł się. No i znów dostałem wpierdol w dupę, więc i tak humanitarnie, bo przecież mógł wybrać już obdrapane miejsca.

Matka skwitowała tylko:

– Widzisz i po co buczysz?

No tak, czyli ani płakać, ani śmiać się. No i nigdy przenigdy nie mogłem powiedzieć, że czegoś nie rozumiem albo nie umiem. Matka wtłukła mi tabliczkę mnożenia dosłownie do głowy. Zeszyt w twardej obudowie w końcu rozleciał się jej w rękach, tak się na mnie wyżywała, gdy pomyliłem jakiś wynik, a miałem dopiero pójść do pierwszej klasy. Do swojego repertuaru określeń dodała wtedy: „ty tumanie pierdolony”. Natomiast ojciec postanowił nauczyć mnie jeździć na rowerze. Miałem wtedy może pięć lat, ale bardzo dobrze to pamiętałem. Poszliśmy na jakieś boisko. Ściągnął dodatkowe kółeczka i powiedział, że mam jechać. Popchnął mój rower do przodu i oczywiście wylądowałem na glebie. Podniósł mnie

i wrzasnął, żebym się skupił. Ze strachu ujechałem może trzy–cztery metry i znowu upadłem. Teraz już nie było żartów.

– Patrz, kurwa, co robisz! Pedaluj, kurwa, to nie może być takie trudne.

I znowu ze strachem ruszyłem do przodu, przejechałem jakieś dziesięć metrów.

– No widzisz, kurwa, już lepiej. To teraz skręcaj. Skręcaj, kurwa, mówię! – wrzeszczał.

Niestety, skręcać nie umiałem. Wywalilem się. Podszedł i rzucił znowu litanię przekleństw. Powiedziałem, że nie umiem. No to sobie przesrałem. Ściągnął mnie z tego roweru, szarpał mnie za rękę i kilka razy walnął mnie otwartą ręką w pysk, a później w dupę. A niestety był silny. Całe dorosłe życie tyrał w górnictwie. Miał ciemne oczy i czarne włosy, a jak się wkurzył, to w tych oczach normalnie widziałem dwa rozżarzone węgle. Wtedy to już było po mnie. Był wysokim facetem, miał jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i był całkiem dobrze zbudowany. Dla mnie wydawał się wtedy największy i najsilniejszy na świecie. Ale w tamtym momencie stanowił dla mnie wcielenie największego zła, które przerażało mnie na śmierć. Wiedziałem, że zaraz będzie scena.

– Ty beznadziejny bachorze, po jaki chuj ja w ogóle tutaj czas marnuję!

Rzucił rowerem o ścianę, ale jakoś tak upadł, że się wcale nie rozleciał. To podjudziło go jeszcze bardziej. Chwycił mnie za włosy i ciągnął po asfalcie kilka metrów, że aż ludzie zaczęli zwracać na nas uwagę. Wtedy chyba zobaczył swojego kolegę z pracy, bo nagle mnie puścił i wydał rozkaz:

– Wstawaj i bierz swój rower! Idź do domu, ja dojdę.

Jakiś facet podszedł do niego i podał mu rękę. Pogadali chwilę i wrócił do domu o północy najebany jak stodoła. Ucieszyłem się. Następnego dnia spotkałem się z Wojtkiem i jego matka pomogła nam w nauce jazdy na rowerze. Byłem uratowany.

Cóż, Wojtek nie miał lepszego dzieciństwa. Jego stary był górnikiem i alkoholikiem jak mój. On za to uwielbiał ich prac po pijaku.

Mój przyjaciel często chodził z siniakami na ciele. Miał jednak to szczęście, że w jego obronie stawał o cztery lata starszy brat. Michał może nie był najlepszy pod słońcem, ale zawsze próbował chronić brata i matkę przed ojcem. A to przywalił ojcu patelnią, a to uciekł z Wojtkiem do garażu przez okno, aby przeczekać aż usnie, a to znowu wyczał, że ojciec wraca do domu, więc obaj schowali się w szafie. Miał mnóstwo patentów na to, jak wykombinować, żeby nie dostać wpierdol. Matka Wojtka czasami uciekała z nimi, a niekiedy po prostu udawało jej się jakoś przekonać męża, aby zasnął.

Ta kobieta była oazą spokoju. Nigdy nie słyszałem, żeby podniosła głos na Wojtkę, o biciu nie było mowy, i nigdy go nie wyzywała. Zawsze mówiła do niego „synku”, a Wojtek uśmiechał się wtedy. Widać było, że kochał matkę. Dodatkowo okazywał się nader zręczny, umiał z niczego coś wyczarować i zawsze był ciekaw, jak coś jest zbudowane i dlaczego tak, a nie inaczej działa. Z racji tego, że zaliczaliśmy się do smarkaczy, starsze chłopaki na osiedlu przepędzali nas z boiska i nigdy nie pozwalali nam grać w piłkę. Wtedy na boisku rządził ten, kto ma futbolówkę. Taką piłkę do nogi można było kupić tylko w Pewexie za dolary. Ja w tamtym okresie nawet na oczy dolarów nie widziałem, a co dopiero mówić o kupowaniu za nie cokolwiek i to jeszcze w Pewexie. Szukaliśmy sobie więc innych rozrywek. Na początku bawiliśmy się koło piaskownicy. Wojtek zawsze przyciągał rupiecie i budowaliśmy z tego jakieś bliżej nieokreślone urządzenia. Jednak inne dzieciaki nam dokuczały, że zabieramy im miejsce w piaskownicy, a niektórzy rodzice przepędzali nas z tymi rupieciami. Szukaliśmy więc miejsca, gdzie mogliśmy w spokoju i z dala od gapiów konstruować te nasze dziwne maszyny. W końcu się udało. Mieliśmy wtedy chyba po osiem lat, jak trzy bloki dalej ruszyła budowa kolejnego betonowego budynku mieszkalnego. Na początku zalegały tylko hałdy piachu, czyli jedna wielka piaskownica. Po piętnastej na budowie już nikogo nie było, a my znaleźliśmy lukę, aby się tam zakradać. Wtedy nikt niczego nie pilnował. Tam znajdował się także ciężki sprzęt, taki jak koparki i betoniarki, więc mieliśmy mnóstwo rzeczy

do odkrywania. To był nasz azyl. Jak tylko mogliśmy, spędzaliśmy tam wolny czas, krążąc między tą maszynerią i zastanawiając się, jak to wszystko działa.

Gdy mieliśmy po dziewięć lat, przyszedł czas transformacji w Polsce. Padł komunizm i rozpoczął się kapitalizm. Dla takich ludzi jak moi starzy nadeszły ciężkie czasy. Oni nigdy nie byli zaangażowani politycznie, bo mieli zbyt zakute łby, a w przypadku ojca dodatkowo zbyt zalany łeb, aby to wszystko ogarnąć. Dla ojca liczyła się tylko woda. I o ile w czasach komuny, czy się stało czy leżało, to się należało, tak teraz liczyła się zaradność. Już państwo nic nie dawało, bo się należy. Przyszły czasy cięć i liczenia kosztów. Co prawda kopalnie były nadal państwowe, jednak coraz częściej słowo rentowność towarzyszyło podejmowaniu decyzji. Zaczęło brakować kasy na wypłaty i rozpoczęto proces restrukturyzacji, czyli zwolnień grupowych. Moja matka jako pracownik administracji kopalni była zbędnym elementem. Zaczęto zwracać uwagę na wykształcenie, umiejętności i znajomość języków. Ona żadnej z nich nie posiadała. Ojciec stał się jedynym żywicielem rodziny, czyli to on decydował, na co wyda wypłatę. Wiadomo, że pierwszy był alkohol, później papierosy, a potem dopiero reszta potrzeb. Matka pożyczala od jednej sąsiadki, by spłacić drugą lub od jednej bądź od drugiej babki, by zapłacić za rachunki. Nieraz nie było co jeść, dosłownie. Wtedy Wojtek dzielił się ze mną kanapkami, bo jego matka jako pielęgniarka często dostawała w podzięcie na przykład jajka, kurczaki, świeże warzywa i owoce. U nich też się nie przelewało, ale przynajmniej nie chodził głodny. Pewnego dnia wróciłem ze szkoły. Matka siedziała w domu. Nie było nic do jedzenia. W szkole Wojtek poczęstował mnie swoim śniadaniem. Matka powiedziała, że czekamy na wypłatę, bo ojciec ma dzisiaj dostać. Teraz ma tylko na papierosy, więc kazała mi iść do sklepu po fajki. Nie wytrzymałem. Zapytałem ją:

– Czemu mama nie pójdzie do pracy?

– Bo na produkcję nie pójdę. W biurze pracowałam, a teraz mam fizycznie zapierdalać? – Spojrzała się na mnie z takim wyrzutem, jakbym ją na śmierć wysyłał.

– Inne matki pracują na produkcji, a też pracowały w administracji w kopalni, i korona im z głowy nie spadała. Przecież my nie mamy co jeść! Kolega codziennie częstuje mnie kanapkami, bo chodzę głodny! Ojciec przecież może wróci o północy, jak dobrze pójdzie. I co? Znowu będziemy do nocnego biegli po chleb? Po co mama w ogóle z nim jest? – wypaliłem.

O dziwo, nie dostałem w pysk, nie wyzwala mnie, tylko się rozryczała. A na koniec wydukała:

– Ojciec gdyby nie pił, to by nie miał wad... Czemu bierzesz jedzenie od innych dzieci?

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. Ona naprawdę tego nie kuma czy udaje głupią.

– Bo nie mam co jeść! Nie mam śniadania do szkoły. Siedzi mama w domu, a nawet obiadu nie ma. Przez ostatnie trzy miesiące na obiad jadłem smażone ziemniaki, a jak się skończyły to jakąś wodnistą breję z rozbełtanym jajkiem i cebulą. Natomiast na papierosy i alkohol jakoś zawsze starcza! – odpowiedziałem w nerwach i poszedłem do swojego pokoju.

Zostawiłem plecak i wyszedłem na dwór. Poszedłem po Wojtka. Wyniósł dla mnie kromala i ruszyliśmy do naszego azylu. Wróciłem do domu wieczorem. Ku mojemu zdziwieniu matka przygotowała kolację. Pewnie pożyczyła kasę od sąsiadki i nawet nie kazała mi zmywać. Ojciec, tak jak przewidziałem, wrócił do domu po północy narąbany w sztok. Matka miesiąc później poszła do pracy na produkcji.

Rozdział III

Nikki

Wtorek

Otworzyłem oczy, kompletnie złany potem. Była 1.00. Usiadłem na łóżku. Wlepiłem wzrok w podłogę i przez chwilę się tak gapilem.

– Co za gówno mi się śni – wymamrotałem do siebie.

Spojrzałem w ekran telefonu. Miałem dwie wiadomości. Jedna to pytanie: „Jak długo?”. Odpisałem: „Do odwołania” i „Odezwę się”. Druga była od Trenera. Pytał tylko, czy się trzymam. Odpowiedziałem, że tak. Napisał, że pojawi się na pogrzebie i będziemy w kontakcie. Odpowiedziałem: „Przyjąłem”. Z nim rozumiałem się właściwie bez słów. Wiedział, że sytuacja jest wyjątkowa i na razie potrzebuję czasu, aby rozeznac się, co się tak naprawdę wydarzyło. Zerwałem się z łóżka na równe nogi. Usiadłem na kanapie w tym mini salonie i odpaliłem newsy. Po kolei przeglądałem wszystkie zdjęcia z momentu wybuchu – chwilę przed, chwilę po. Próbowałem posklejać przebieg wydarzeń klatka po klatce. Zacząłem też przeszukiwać social media. Teraz ludzie kręcą i postują wszystko i wszystkich. To jest prawdziwa skarbnica informacji, jeśli tylko wiesz jak szukać. Eniak był mistrzem budowania narzędzi do wyszukiwania i śledzenia informacji. Teraz jego aplikacja stała się cholernie pomocna. Zbierałem dane i próbowałem je uporządkować. Zanim się obejrzałem, była już siódma. Zamknąłem kompa, napiłem się kawy, zjadłem ja-

kąs kanapkę, która została w kuchni, i wziąłem prysznic. Ubrałem się luzacko: dzinsy, sportowe buty i bluza z kapturem. Wsiadłem w podmiejski autobus. Było mi na rękę, że jest obowiązek noszenia masek. Mogłem się lepiej wmieszać w tłum. Podjechałem najpierw pod ambasadę. Teraz było tam kilka osób. Stało mnóstwo zniczy i kwiatów, kręciło się też kilku dziennikarzy. Teren został otoczony barierkami, ale kurz już opadł. Zrobiłem kilka zdjęć i udałem się dalej na spotkanie z Nikki Koejermans.

Stałem przed siedzibą Interpolu w Hadze. Wysoki, nowoczesny budynek był cały ze szkła. Wszędzie ochrona. Gdy wszedłem, kazano mi na moment ściągnąć maskę, wylegitymować się i przejść przez ochronę oraz bramki na wykrywanie metali. Po tej procedurze mogłem poczekać w holu, aż ktoś mnie odbierze. Wszędzie leżały porzucane jakieś propagandowe ulotki. Usiadłem przy niewysokim stoliku. Stały na nim ładne, małe flakoniki z tulipanami – symbol Holandii. Kręciło się dość sporo osób pomimo pandemii. W końcu podszedł do mnie rosły, ciemnoskóry facet. Ten sam, który wczoraj towarzyszył pani Koejermans.

– Witam, Bram Ebenge. Pan do Nikki Koejermans? – zapytał po angielsku.

– Tak – odpowiedziałem.

– Proszę ze mną.

Zaprowadził mnie do dużej windy. Stał w jednym rogu, a ja w drugim.

– Zachowanie dystansu – uśmiechnął się

– Nie ma sprawy – odparłem.

Wysiedliśmy z windy. Weszliśmy do biura, do tak zwanego open space. Miało ono mnóstwo stanowisk pracy przedzielonych przegródkami. Nie wszystkie obsadzone, ale i tak panował dość spory hałas. Ludzie uwijali się, gdzieś się spieszyli. Natomiast wyżsi rangą mieli własne, oszklone biura, coś na wzór bardziej luksusowego kontenera. Naprzeciwko windy, po drugiej stronie, miała biuro Nikki Koejermans. Dzisiaj była bez maseczki. Stała i rozmawiała z kimś. Wpatrywałem się w nią. Była zjawiskowa, wyglądała raczej

jak aktorka, a nie policjantka – nie pasowała do tego miejsca. Przez chwilę analizowałem jej aparycję. Była blondynką, jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów i lekko kręcone włosy, które opadały jej na ramiona. Miała piękne, duże, zielone oczy, lekko podkreślone kreską i czarne, zakręcone rzęsy. Widać było drobne zmarszczki koło oczu, gdy się uśmiechała, ale one dodawały jej tylko uroku. Posiadała też zgrabny nos i lekko pomalowane, wydatne usta, ale nie wulgarne, jak te botoksove karpie, których teraz pełno na Instagramach, Snapchatach, Facebookach i innych chujach mujach. Była szczupłą, ale nie wychudzona. Miała na sobie granatowy garnitur i niebieską bluzkę lekko rozpiętą pod szyją. Spod marynarki widać było, że ma wydatny biust. Nie jakąś jebitną mleczarnię, ale taki w sam raz. Wszystko było u niej spójne. Z wyglądu dałbym jej tak ze trzydziści dwa lata, ale skoro była komisarzem, miała zapewne koło trzydziestu sześciu-siedmiu lat. Przez myśl przeszło mi, że to musi być naprawdę kawał twardej babki, bo wbrew pozorom w takiej pracy uroda, taka jak jej, wcale nie była atutem. Wręcz przeciwnie, w miejscu zdominowanym przez facetów taka kobieta może rozbudzić tylko niskie instynkty i trzeba mieć naprawdę przysłowiowe jaja i silną osobowość, aby się nie dać zaszczyć tym wszystkim pseudosamcom alfa. Tym bardziej mi się podobała, ale głupio było się tak gapić.

– Tędy – powiedział Bram, wrywając mnie z zawieszenia i fascynacji Nikki.

Weszliśmy do jej biura. Nikki pojawiła się po chwili. Powiedziała, że mogę usiąść. Uśmiechnęła się i przedstawiła stopień swojego współpracownika – jakiś tam aspirant czy jakoś tak.

– Będę nagrywała naszą rozmowę, jeśli wyrazi pan zgodę – powiedziała.

– Zgadzam się – odpowiedziałem.

I zaczęło się.

– Proszę powiedzieć, jak znalazł się pan wczoraj w ambasadzie? – zapytała.

– Przyjechaliśmy busem na wymianę serwerów z powodu awarii. My, czyli ja i mój kolega, Piotr Paździeń, który wczoraj zginął

pod gruzami. – Nabrałem powietrza. – Awaria miała miejsce dwa dni temu. Zlecenie otrzymaliśmy od informatyka, tego który zginął. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Weszliśmy do budynku. Rozpakowaliśmy sprzęt, odłączyliśmy stary, podłączyliśmy nowy. Zaczęliśmy ładować system. Około 12.00 mieliśmy udać się na poczęstunek w kantynie. Poszedłem do toalety. Wtedy nastąpił wybuch i cały budynek się zawalił.

– Od kiedy pracuje pan w IBM? – zapytała.

– Od trzech lat – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Czym się pan tam konkretnie zajmuje?

– Wymianą serwerów. W razie awarii jeździmy do klientów i wymieniamy sprzęt.

– A to zlecenie? Dlaczego przyjechaliście aż z Polski na wymianę? – zapytała.

– To zlecenie rządowe. Do tego trzeba mieć specjalne uprawnienia. Ja i mój kolega mamy odpowiednie kwalifikacje i tak zwany status zaufania – odparłem.

– Czym pan się wcześniej zajmował? – zapytała.

– Byłem zatrudniony w polskiej firmie, która dostarczała serwery do administracji rządowej. Spółka ta została wchłonięta przez IBM i stąd też powierzano nam takie zlecenia – odpowiedziałem.

Znowu zapytała mnie o moment wybuchu i o to, co pamiętam. Jeszcze raz o moją pracę i tak kilka razy. Następnie podziękowała mi za przybycie, poprosiła o moje dane kontaktowe i adres, gdzie się zatrzymałem w Holandii. Zapytała, czy długo tu jeszcze zostanie. Powiedziałem, że na pewno do momentu transferu zwłok kolegi. Podziękowała i pozwoliła mi odejść. Bram odprowadził mnie do wyjścia.

*

Nikki siedziała jeszcze chwilę w swoim biurze. Bram podszedł do niej.

– Co tak myślisz? – zapytał po holendersku.

- W sumie to nic – odpowiedziała.
- Widzę, że jest coś na rzeczy.
- Nie nic. Po prostu mam wrażenie, że gdzieś jakbym widziała tę twarz. Nie wiem, pewnie coś mi się tylko wydaje. Zresztą nieważne. Jak tam wyniki z ekspertyzy wybuchu? Mamy już je? – zapytała.
- Nie – odpowiedział Bram. – Jeszcze sprawdzają, dzwoniłem dzisiaj rano.

*

Wyszedłem z budynku. Rozejrzałem się dookoła i udałem się na przystanek autobusowy. Było tam całkiem sporo ludzi. Wmieszałem się w tłum i gdy podjechał autobus, zdjąłem bluzę, którą wyrzuciłem na drugą stronę. Zamiast wsiąść, ruszyłem z powrotem wraz z tłumem wysiadających. Przeszedłem kilka przecznic dalej i dopiero wtedy wsiałem do autobusu. Musiałem mieć pewność, że nikt mnie nie śledzi. Wróciłem do domu. Znowu przeglądałem klatka po klatce moment wybuchu. Jakoś nic się nie zgadzało. Gdyby to był gaz z instalacji, musiałyby się ulatniać dłuższy czas, aby doprowadzić do takiej rozpierduchy. Zresztą taką ilość gazu byłoby już czuć w holu. Zakładałem, że czujniki musiałyby go wykryć, czyli awaria nastąpiła nagle. Kantyna stała przecież dłuższy czas nieużywana. Wybuch nastąpił w niej dokładnie o 12.01. A przecież nic nie wyczuliśmy, gdy do niej weszliśmy. W dodatku była tam kelnerka, która musiałaby coś wywachać. Wybuch zniszczył kantynę i serwerownię oraz pomieszczenia znajdujące się nad nimi, czyli biuro paszportowe, gdzie zginęła jedna osoba. Reszta obiektu pozostała nietknięta. Oczywiście kondygnacja budynku została naruszona, ale wszystkie osoby, które znajdowały się w tym czasie po jego drugiej stronie, przeżyły, czyli ja i ochroniarze. Próbowałem ustalić, jaki był rozkład stolików i wyposażenia w kantynie. Wrzuciłem na bęben wyszukujący kantynę. To, co stworzył Eniak, działało trochę jak Google, tylko było bardziej precyzyjne i automatycznie wy-

rzucano wszystkie zdjęcia dokładnie z tego specyficznego miejsca. Można było od razu zadać, aby system układał je chronologicznie, według największego, najmniejszego, najbardziej dokładnego. Wiedziałem, że to trochę potrwa, bo nie spodziewałem się, aby ktoś namiętnie pstrykał fotki kantynie w ambasadzie – musiałem zatem uzbroić się w cierpliwość. Zrzuciłem do kompa zdjęcia, które zrobiłem dzisiaj rano i układałem to wszystko krok po kroku. Będę jeszcze miał dane, więc miałem chwilę i zamówiłem jakieś chińskie żarcie na wynos.

*

W tym czasie Nikki składała do kupy wszystkie fakty i próbowała odtworzyć ciąg zdarzeń. Przesłuchała ochroniarzy, którzy przeżyli, oraz umówiła się na spotkanie z ambasadorem. Czy ktoś tego chciał czy nie, powoli robiła się z tego sprawa polityczna. Wszyscy byli zgodni, że to wielka tragedia i każdy chciał wyjaśnić przyczyny wybuchu, ale jednak czuć było ograniczone zaufanie z obydwu stron. Ambasador zaprosił do współpracy Juliusza Krzyżanowskiego z ramienia polskiego oddziału Interpolu, jako przedstawiciela władz polskich, który także miał się włączyć w śledztwo i wspólnie ze stroną holenderską kontynuować działania operacyjne. Krzyżanowski wprowadził swoich ekspertów, którzy zaczęli badać całą sytuację krok po kroku. Każdy czekał na wyniki ekspertyzy i dopiero po jej otrzymaniu można było wyciągać wnioski. Nikki zleciła dodatkowo kontrolę w gazowniach i elektrowniach, aby sprawdzić, czy zanotowano jakieś anomalie w ostatnim czasie i kiedy ostatni raz instalacje gazowe poddano przeglądowi. Chciała także porozmawiać z pozostałymi pracownikami, którzy tego dnia nie byli w budynku, aby mieć lepszy obraz ludzi, którzy zginęli w wybuchu. Juliusz Krzyżanowski upierał się, że chce być przy każdym przesłuchaniu, więc działania należało bardziej skoordynować i uporzędkować. Strona polska postanowiła, że sama ustali spotkania

z pracownikami, a Nikki mogła dołączyć jedynie jako słuchacz. Ogólnie nie protestowała, ale uznała, że jest to trochę absurdalne zachowanie, skoro strony miały współpracować. Cóż, Polacy dla niej zawsze wydawali się nad wyraz podejrzliwi i wietrzący wszędzie spisek, dlatego też starała się na tym etapie grać w tę ich grę, aby nie podgrzewać i tak dość napiętej sytuacji. Z kolei Krzyżanowski uważał, że Holendrzy to ślamazarne melepety i jak Polacy się za to nie wezmą, to sprawa będzie się ciągnęła do przyszłego roku. Ambasador bardzo naciskał, żeby sprawę jak najszybciej zamknąć i zająć się bieżącymi zadaniami, bo trzeba było teraz znaleźć nową siedzibę i ruszyć z normalnym trybem pracy. A dopóki śledztwo trwało, wszystko było zablokowane.

*

Podjechał kurier z jedzeniem. Wciągnąłem chiński makaron. Komputer ciągle miał dane, więc odchyliłem głowę na kanapie, założyłem ręce za nią. Przymknąłem na chwilę oczy...

*

Znowu byłem w tym małym, pomarańczowym pokoju w Dąbrowie z płaczącymi, zielonymi liśćmi. Do listy zakazów ojciec dorzucił teraz oglądanie dwa razy tego samego filmu na kasacie VHS. Miałem wtedy jedenaście lat. Ojciec dostał jakieś grube wyrównanie z kopalni. Matka w końcu spłaciła wszystkie sąsiadki. Kupili satelitę i odtwarzacz kaset VHS oraz, ku mojej uciechy, telewizor na pilota. W końcu byłem zwolniony z tego durnego ganiań między stołem a telewizorem. Dla mnie kupili mały magnetofon z dwoma głośnikami, abym mógł sobie posłuchać czasami muzyki. Najczęściej jednak ojciec po nocach puszczał na nim swoje kasety. Od teraz w domu leciały tylko niemieckie teleturnieje i filmy. Ojciec zapraszał kolegów i chwalił się

tym sprzętem – oglądali wspólnie filmy na odtwarzaczu. Pewnego dnia przyniósł do domu niemiecką wersję „Krwawego Sportu” i pozwolił mi ją obejrzeć. Boże, jak ten Van Damme tam skakał, walczył, jaki był twardy. Nikogo się nie bał, a do tego taki opanowany. Od tej pory byłem jego największym fanem. Chciałem wszystko robić tak jak on. Chciałem tak walczyć, robić szpagaty, pokonywać największych twardzieli. Oczywiście ojciec zabronił mi włączać samemu sprzęt – twierdził, że skoro już raz widziałem ten film, to nie ma sensu, abym oglądał go znowu. I nawet jak oglądał go z jakimiś gośćmi, wyganiał mnie z pokoju. Cóż, na szczęście kończyłem szkołę wcześniej niż rodzice pracę, więc przychodziliśmy wcześniej z Wojtkiem do mnie do domu, wrzucaliśmy ten film do odtwarzacza i próbowaliśmy zapamiętać każdy ruch, scenę, słowa. Wtedy mogłem recytować całe dialogi po niemiecku z pamięci. Byliśmy kompletnie zafascynowani tą postacią. Van Damme stał się naszym ulubionym aktorem. Jak tylko pojawiał się jakiś film z nim, koniecznie chcieliśmy go zobaczyć. Później szliśmy do naszego azyłu i tam ćwiczyliśmy wyskoki, nieporadne próby zrobienia szpagatu, walki wręcz, pompki. Chcieliśmy być jak on. Oczywiście nigdy nie zapomniałem i zawsze pilnowałem, aby kasetę odłożyć na swoje miejsce, nawet dbałem o to, żeby nie zostawić na niej swoich odcisków palców.

*

Z letargu wyrwał mnie telefon. Głos w słuchawce przedstawił się po angielsku jako koroner. Przygotowywali się do przeprowadzenia sekcji zwłok Piotra Paździenia i chcieli ustalić, czy powinni poinformować kogoś z jego bliskich. Pytali w ambasadzie, ale tam dostali jedynie ten numer. Powiedzieli, że dobrze by było, gdybym jutro około 14.00 pojawił się w kostnicy. Powiedziałem, że będę. Wybrałem numer.

- Mów – odpowiedział głos w słuchawce.
- Waldemar Rafalski, ten sam numer co zwykle?

- Potwierdzam – brzmiała odpowiedź po drugiej stronie.
- Jutro jest okazanie. Będzie kontakt z ich strony, bądź przygotowany – odpowiedziałem.
- Okej, wiesz coś? – zapytał mój rozmówca.
- Na razie nic konkretnego, ciągle mielę dane.
- Dobra, trzymaj się – skwitował głos po drugiej stronie.
- Dobra, nara – odpowiedziałem.

Siedziałem tak zamyślony chyba z pół godziny. W głowie kotłowały się myśli. Nie chciałem tych wspomnień, ale śmierć Wojtka powodowała, że one zaczęły do mnie wracać. Ogarnął mnie ogromny smutek, on naprawdę już nie żył. Na to się chyba nie da nigdy przygotować, na utratę kogoś bliskiego.

Maszyna przestała mielić. Wyrzuciła kilka zdjęć. Próbowałem je jakoś dopasować i stworzyć sensowny rozkład kantyny. Wychodziło, że w miejscu, gdzie pojawił się pierwszy rozbłysk wybuchu, stał ekspres do kawy. Pomyślałem, że to jakieś kompletne bzdury. Była dziewiętnasta. Zamknąłem wszystko, poszedłem pobiegać. Musiałem się zresetować, wyłączyć.

*

Nikki była w domu, zadzwonił telefon. Dzwonił Bram, jeszcze z biura:

- Słuchaj, ekspertyza się przeciągnie.
 - Czemu? – zapytała Nikki.
 - To nieoficjalnie. Miałaś rację, że z tym ulatnianiem się to jakaś naciągana sprawa. Wygląda na to, że to był gaz, ale z jakiejś butli, a nie z instalacji. Do tego chyba był zapalnik. To wszystko jest bardzo dziwne. Ci od analizy nie chcą na razie wyciągać pochopnych wniosków, potrzebują więcej czasu. Zrobią jeszcze kilka symulacji. Ale to między nami.
 - Okej – odparła Nikki i się rozłączyła.
- Przez chwilę patrzyła jeszcze w telefon.

– To się kupy i dupy nie trzyma, kto by chciał wysadzić polską ambasadę? – powiedziała sama do siebie.

Usiadła jeszcze raz do kompa i zalogowała się na swoje konto w Interpolu. Zaczęła przeglądać wszystkie filmiki z wybuchu, które zgrali informatycy. Chciała to wszystko sobie poukładać. Przejrzała jeszcze raz swoje notatki z rozmów z tymi, co przeżyli. Ciągłe jeszcze nie rozmawiała z pozostałymi pracownikami, bo polska strona nie odezwała się w sprawie terminu.

*

Wróciłem z biegania. Wlazłem pod prysznic. Wytarłem się ręcznikiem, a następnie ubrałem bokserki. Usiadłem znowu na kanapie w salonie. Jeszcze raz przejrzałem to, co do tej pory zebrałem. Ponownie spróbowałem ustalić rozkład kantyny. Nie chciało wyjść inaczej, tam gdzie był pierwszy rozbłysk, musiał stać ekspres do kawy. Spodziewałem się raczej jakieś gazówki albo mikrofali. Była już północ. Poprzednią noc właściwie nie spałem, więc poszedłem do sypialni i próbowałem usnąć. Gdy tylko zamykałem oczy, ciągle trafiałem do tego małego pokoju. Nie chciałem tego, ale nie mogłem nad tym zapanować.

Rozdział IV

Znowu te liście

Otworzyłem oczy i znowu zobaczyłem te zielone, odwrócone liście na pomarańczowym tle. Miałem dwanaście lat, to był październikowy, sobotni poranek. Wojtek wyjechał ze starymi na weekend do babci. Lało, wichura za oknem. Szare bloki stały się jeszcze bardziej szare, było ciemno i ponuro. Wstałem z łóżka, poszedłem do toalety. Rodzice dzisiaj nie pracowali. Obydwoje już siedzieli przez telewizorem i oglądali jakąś powtórkę „Geh auf ganze!”, czyli niemiecką wersję „Idź na całość”. Wszedłem do kuchni. Ojciec od razu wypalił:

– A co to, kurwa, języka w gębie nie masz? Może tak „dzień dobry” byś powiedział? Za grosz kultury!

Nie miałem na to siły. Spojrzałem tylko na niego. Ojciec powtórzył jeszcze raz:

– Co, kurwa, głuchy jesteś?

– Dzień dobry, ojcie i matko – odpowiedziałem z sarkazmem w głosie.

– Dowcipniś się znalazł – odpowiedziała matka. – Zrób sobie kanapkę. Ja mam dzisiaj wolne, jestem zmęczona po pracy.

Jak zwykle w tym domu tylko starzy mogą być zmęczeni. Zjadłem śniadanie i wróciłem do swego pokoju. Położyłem się na łóżku i patrzyłem tępo w okno, jak strugi deszczu płynęły po szybach. Usłyszałem głos matki:

– Rusz się i bierz się za odkurzanie, zobacz jaki wszędzie syf!

U mnie w pokoju było czysto, ale matka bezapelacyjnie mianowała mnie na domową sprzątaczką. Strasznie nie chciało mi się ruszać. Pomyślałem jednak, że jak odkurzę, to dadzą mi spokój do końca dnia. Ruszyłem się, wyciągnąłem ciężki, komunistyczny relikwiarz zwany odkurzaczem i zacząłem od swojego pokoju. Tutaj poszło mi szybko. Następnie przenieśliśmy się do przedpokoju. Był bardzo mały, więc zajęło mi to może minutę i wjechałem do pokoju starych. Zacząłem od okna. Odkurzałem porządnie, żebym nie musiał robić żadnych poprawek. Odkurzacz huczał gorzej niż traktor. W końcu ojciec wydarł się do mnie:

– Kończ to i wypierdajaj mi z tym odkurzaniem! Nawet w sobotę od rana nie można w spokoju posiedzieć i telewizora oglądać!

– Mama kazała odkurzać – odpowiedziałem.

– No niech skończy, przecież to tylko chwila – odpowiedziała szybko matka.

Ale ojciec nie był taki cierpliwy. Rzucił we mnie laczkiem i kazał mi wypierdalać z pokoju. Było mi to w sumie na rękę. Wyłączyłem odkurzacz i go schowałem. Wróciłem do swojego pokoju. Po dwudziestu minutach ojciec się wydarł, że teraz mogę dokończyć odkurzanie. Odpowiedziałem, że skończyłem. Powiedział, że znowu jest brudno i że mam natychmiast ruszyć mój zasrany tyłek. Wstałem i wyciągnąłem odkurzacz, bo nie chciałem od niego zarobić pasem. Zacząłem odkurzać. Ojciec specjalnie wyrzucał kipy papierosowe na dywan. „Co to za złośliwy chuj z niego” – pomyślałem. Odkurzałem, a on zaczął się nabijać:

– No widzę, kurwa, że będzie z ciebie niezła kura domowa!

Co chwilę rzucał jakieś okruchy albo kipy na podłogę i mówił:

– No, jeszcze tu, kuro domowa, no i jeszcze tam, kuro domowa!

Do tego śmiał się wniebogłose. W końcu w telewizji zaczął lecieć jakiś teleturniej, na który czekał i powiedział, że mogę spierdalać i przestać hałasować. Zacisnąłem zęby, trzasnąłem drzwiami w swoim pokoju. Miałem dosyć tego ponizania. Puściłem muzykę z kasy. Teraz wparowała matka do pokoju.

– Ścisz to, kurwa! Daj spokojnie w sobotę posiedzieć!

– Przecież nie jest głośno – odpowiedziałem.

– Co, kurwa? Ścisz, bo jak nie... – zagroziła.

Nie mogłem już tak dłużej, więc odpyskowałem:

– Bo jak nie, to co?

– Pyskujesz, ty gówniarzu pierdolony! Bo jak nie, to wyjębię ci te radio przez okno!

– To wyjeb! – odpowiedziałem i szybko dodałem: – Jak ojciec nachlany po nocach słucha na cały regulator, to jakoś nigdy nie przeszkadza. A ja włączyłem w sobotę, w południe, nawet nie na połowę tego, co ojciec i od razu dostaję zjębę...

Oczy jej rozbłysły ze wściekłości.

– Ty niewdzięczny smarkaczu pierdolony. To my tu z ojcem flaki sobie wypruwamy, abys miał wszystko, a ty się pyskowaniem odpłacasz?

Popatrzyłem jej w oczy i powiedziałem:

– Nie pchałem się na ten świat. Trzeba było nie mieć dzieci, nie musielibyście sobie tych flaków wypruwać.

– Słyszysz, kurwa, co ten gówniarz pierdoli? – zwróciła się do ojca. – Nie pchał się na ten świat.

Ojciec wpadł z pasem i zaczął mnie okładać. Skuliłem się na łóżku na lewym boku i o dziwo jakoś nic nie czułem. Miałem wrażenie, jakbym uniósł się ponad swoje ciało i z góry obserwował, jak ojciec okłada je pasem. Wiedziałem, że w końcu się zmęczy. On nie przestawał, a matka stała z boku i tylko się darła:

– To się doigrałeś, ty gówniarzu pierdolony! To się doigrałeś!

Ojciec widząc, że jakoś jestem odporny na te jego lanie, odwrócił pas i teraz uderzał mnie metalową sprzączką. Najpierw po ciele, aż za którymś razem trafił prosto w głowę. Teraz to poczułem, ocknałem się jakby. Z głowy poleciała mi krew.

– O Boże, krew! – wydarła się matka. Po czym zwróciła się do ojca: – Przestań, przestań!

Ojciec przestał mnie lać. Spojrzeli na mnie. Pomimo że dostałem naprawdę poważny wpierdol, nie spanikowałem. Patrzyłem im prosto w oczy i wyduśliłem z siebie:

– Po co przerywać. Nie lepiej tłuc i słuchać czy oddycha?

Nie spuściłem z nich wzroku, nie rozplakałem się i nawet się nie bałem, że zaraz ojciec zacznie mnie znowu okładać. Po prostu się nie bałem. „A niech napierdalają mnie, aż zdechnę” – pomyślałem. Było mi wszystko jedno. Matka zaczęła szlochać, a ojciec rzucił pasem w przedpokoju i powiedział:

– Widzisz, kurwa, rozpieszczaj go tak dalej, to ci zaraz na łeb wlezie!

Matka stała tak nade mną kilka chwil. Z mojej głowy powoli sączyła się krew. Przyniosła apteczkę, jakąś wodę utlenioną i chciała przemyć mi ranę.

– Zostaw – odpowiedziałem. – Sam sobie poradzę.

Stała i patrzyła na mnie. W oczach miała łzy. Odwróciłem się na drugi bok. Nie miałem ochoty na nią patrzeć. Nawet nie chodzi o to, że ich nienawidziłem. Ja do nich po prostu już nic nie czułem. Tak długo wyniszczali mnie psychicznie, że w końcu wyzbyłem się wszelkich uczuć. Wyszła z mojego pokoju. W duchu odczułem dziwnie wewnętrzny spokój i ukojenie. Jakoś ogarnęło mnie poczucie wolności od tego ciągłego strachu. No i dostałem ten wielki wpierdol i wcale nie było aż tak strasznie. Teraz wreszcie się nie bałem. Leżałem tak na łóżku w sumie zadowolony z siebie. Jednak około szesnastej musiałem wstać do toalety. Teraz dopiero zacząłem odczuwać skutki pobicia. Cały bok mnie napierdalał, nie miałem na to innego określenia. W toalecie podniosłem koszulę i praktycznie prawy bok od szyi do kostki był czerwony i spuchnięty. Rana na głowie przestała krwawić, ale głowa zaczęła mnie naprawdę boleć. Spojrzałem w lustro i powiedziałem sam do siebie, że wytrzymam. Za drzwiami toalety stała matka.

– Może sobie lodu przyłóż? – zaproponowała.

– Nie trzeba, niech puchnie – odpowiedziałem.

Spuściła wzrok i poszła do pokoju oglądać „Geh auf ganze!” czy jakiś inny szajs.

Znowu położyłem się na łóżku. Żałowałem, że nie ma Wojtka. Poszedłbym do niego, żeby pogadać. On zawsze mnie rozśmieszał. W nocy nie mogłem spać. Teraz nie mogłem ruszyć całą prawą

stroną. Ciągle musiałem leżeć na lewym boku. Czuję, jak całe ciało mi pulsuje i puchnie jeszcze bardziej. Myślałem o tym, co się dzisiaj stało. Przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę taki jak oni i że się stąd wyrwę za wszelką cenę. Jak tylko skończę osiemnaście lat, wyprowadzę się z domu jak najdalej, aby nie mieć z nimi nic do czynienia. W niedzielę nie miałem siły ani ochoty wstać. Matka przyniosła mi kanapki do pokoju. Zjadłem i dalej leżałem. Słyszałem tylko jak ojciec darł się na nią:

– Po chuj nad nim skaczesz! Nic mu nie będzie.

Około dwunastej ojciec poszedł wyrzucić śmieci. Było wiadomo, że do wieczora nie wróci. Zawsze używał tego pretekstu, aby wyjść z domu i się nachlać. Jakimś cudem około trzynastej wstałem, ubrałem się i powiedziałem, że idę do Wojtka. Nie mogłem już leżeć na tym łóżku. Wojtka niestety jeszcze nie było. Usiadłem na schodach na klatce niedaleko jego drzwi. Skuliłem głowę w ramionach i tak siedziałem sam ze sobą, nawet nie wiem, ile czasu. Mojego przyjaciela ciągle nie było, więc w końcu wstałem i poszedłem do domu. Była chyba osiemnasta. Ojciec leżał już narąbany przed telewizorem. Matka postawiła mi obiad przed nosem. Nie mogłem jeść. Podziobałem trochę i poszedłem do łazienki się wykapać. Rozebrałem się do naga. Połowa mojego ciała teraz zrobiła się sina. Nie mogłem unieść ręki. Nawet strumień wody spływający po moim ciele sprawiał mi ból. Matka w międzyczasie wymieniła mi pościel na świeżą. Położyłem się spać. Znowu nie mogłem zasnąć. Gdy w końcu mi się udawało na chwilę przysnąć, przekręcałem się na ten obity bok i znowu budziłem się z bólu. Starzy poszli do pracy na szóstą, a ja miałem iść do szkoły na ósmą. Obudziłem się o siódmej. Czuję się fatalnie. Kręciło mi się w głowie. Wszedłem do toalety. Zrobiło mi się strasznie niedobrze i się porzygałem. Siedziałem tak skulony w toalecie. Nie mogłem się podnieść. Usłyszałem pukanie do drzwi. To był Wojtek. Zawsze razem szliśmy do szkoły. Dosłownie doczołgałem się do drzwi. Ledwo je otworzyłem.

– Stary, co się stało! – wrzasnął Wojtek, gdy mnie zobaczył. – Jesteś cały zielony, Jezu!

Spojrzałem w lustro w przedpokoju, faktycznie byłem bladzielony. Wojtek pomógł mi wstać i się ubrać. Kiedy zdjąłem koszulkę, przeraził się.

– Boże, ale ci spuścili wpierdol. Co ty żeś takiego narobił?

– Muzyki słuchałem – odpowiedziałem.

– Musiała im się strasznie nie spodobać. Co to było? – dopytywał.

– Chyba 2 Unlimited.

– Mówiłem ci, że to chłam. – Zaczął się śmiać, próbując mnie rozśmieszyć. – Trzeba było włączyć Wilki.

Również zacząłem się śmiać, ale naprawdę źle się czułem i nie byłem w stanie iść do szkoły. Wojtek wziął mnie pod pachę.

– Chodź, idziemy do mnie. Moja matka jest w domu. Pomoże ci – powiedział.

Powoli doszliśmy do jego domu. Jego matka widząc mnie w progu, od razu kazała położyć mnie na łóżku. Ostrożnie ściągnęła mi koszulkę i się popłakała. Wtedy nikt na nikogo nie donosił i nie wtrącał się w rodzinne sprawy. Doskonale wiedziała, że zostałem pobity przez starych, ale nie zadawała mi żadnych głupich pytań w stylu „co się stało?”. Delikatnie zbadała, czy nie mam pękniętych żeber. Oddychałem normalnie. Dała mi zastrzyk przeciwbólowy i zrobiła kilka okładów na te moje posiniaczone ciało. Wojtkowi pozwoliła nie iść do szkoły. Powiedziała, żebym się nie martwił, że napisze mi usprawiedliwienie i zwolni mnie z WF-u na dwa tygodnie.

– Najważniejsze, żeby zbić gorączkę – powtarzała.

Leżałem tak u nich w domu. Wojtek siedział przy mnie. Gdy poczułem się lepiej, odprowadził mnie do domu. Jego matka dała mi jeszcze lekarstwa i powiedziała, jak mam je brać. Wojtek siedział ze mną w moim pokoju. Ból zaczął ustawać. Gadaliśmy o życiu. Obiecaliśmy sobie wtedy, że nie staniemy się takimi złamasami jak nasi ojcowie, a raczej będziemy pomagać ludziom jak jego matka. Postanowiliśmy, że jak skończymy osiemnaście lat, to razem się stąd wyrwiemy na zawsze. Cieszyłem się, że mam takiego przyjaciela. Przed czternastą poszedł do domu. Wróciła moja matka. Od tego momentu już nigdy nie podniosła na mnie ręki... w przeciwieństwie do ojca.

Spis treści

Rozdział I. To nie Kabul	5
Rozdział II. Zielone liście	13
Rozdział III. Nikki.	22
Rozdział IV. Znowu te liście.	32
Rozdział V. To śmierdzi na kilometr.	38
Rozdział VI. Masz potencjał.	53
Rozdział VII. Spotkanie po latach.	61
Rozdział VIII. Kim on jest?	75
Rozdział IX. Nieścisłości	82
Rozdział X. Co my właściwie wiemy?	89
Rozdział XI. Spójrz na to!	96
Rozdział XII. Ja ciebie też!.	104
Rozdział XIII. Zagadasz do niej?.	119
Rozdział XIV. Szkoda was do woja	130
Rozdział XV. Tylko nie zmarnuj sobie życia	157
Rozdział XVI. Sprzątanie	167
Rozdział XVII. Dobry plan.	175
Rozdział XVIII. Ile to chciałaś ciągnąć?	195
Rozdział XIX. Stare śmieci.	214
Rozdział XX. Motywacja	225
Rozdział XXI. Początek	232
Rozdział XXII. To ile ich było?	262
Rozdział XXIII. A wy ile kodów złamaliście?	290
Rozdział XXIV. Macie z nimi kontakt?	304
Rozdział XXV. To już koniec	322
Rozdział XXVI. Każdemu odwała	340
Rozdział XXVII. Stare czasy	373
Rozdział XXVIII. Już czas	382

Życ inaczej to intrygująca powieść sensacyjno-obyczajowa, a jednocześnie rozwojowa, ukazująca drogę życiową – od trudnego dzieciństwa w patologicznej rodzinie po pełen męskich przygód i niebezpiecznych zawirowań wiek dojrzały. Furtkę ku wielkiej przygodzie uchyla głównemu bohaterowi Trener. Dzięki niemu wstępuje on w szeregi sił specjalnych. Tam odnajduje prawdziwych braci i kompanów, agentów jak on sam, którzy też mają niezwykle życiorysy. Wspólny udział w tajnych akcjach, ciężka służba i zawirowania w życiu prywatnym są motorem intrygujących wydarzeń.

Powieść, okraszona mocnym i dosadnym językiem, nie pozbawiona jest także wątku romansowego. Współczesne realia, obyczajowy konkret i równie brutalne, co dowcipne dialogi, a także niebanalny sposób narracji – to dodatkowe atuty tej książki.

PRZEJDŹ

do księgarni online:

www.sorus.pl



Sorus